

W.G. Sebald

Czuję. Zawrót głowy

Pozostałem w W. prawie miesiąc, do początku czasu byłem jedynym gościem Anioła. Z rządkomivojażerów, którzy wieczorem w gospodzie przyglądali się moim notatnikom, wyciagając z nich procentowe i prowizji. Ponieważ nie miałem nic do powiedzenia nad swoimi papierami i tylko od czasu do czasu wznosiłem wzrok w kierunku spojrzeniu bujać w dali, zrazu uważali mnie za zwykłego wojażera, aż po raz kolejny otaksowawszy mój sposób powiedniego wyglądu dorozumiewali się i zaczęli mnie podejrzanaego zawodu. Zaniepokojony nie miałem czasu na przygotowania do rozpoczęcia sezonu, więc postanowiłem, że i w swoich zapiskach doszedłem do punktu, w którym nie mogąc zająć na nic, posuwać się dalej, albo przerwać.

przełożyła
Małgorzata Łukasiewicz

OSSOLINEUM

Czuję. Zawrót głowy

W.G. Sebald
Czuję. Zawrót głowy

Przekład Małgorzata Łukasiewicz

Posłowie Małgorzata Lebda



Wydawnictwo Ossolineum

TYTUŁ ORYGINAŁU *Schwindel. Gefühle*

COPYRIGHT © 1990, Eichborn AG, Frankfurt am Main.

All rights reserved

COPYRIGHT © FOR THIS EDITION BY

Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 2019

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION BY

Małgorzata Łukasiewicz

POSŁOWIE: COPYRIGHT © Małgorzata Lebda, 2021

WYDANIE PIERWSZE

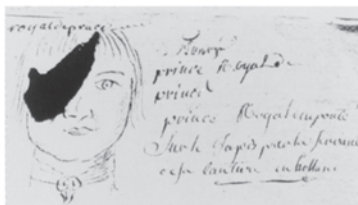
WROCLAW 2021

Beyle
albo
osobliwy fakt miłości



W połowie maja roku 1800 Napoleon z 36 000 ludzi przeprowadzał się przez Wielkiego św. Bernarda – przedsięwzięcie, które do tej pory uchodziło na dobrą sprawę za wykluczone. Przez blisko dwa tygodnie nieprzejrzana kolumna ludzi, zwierząt i sprzętu posuwała się z Martigny przez Orsières doliną Entremont, a następnie niekończącymi się, jak się zdawało, serpentynami w górę, ku leżącej dwa i pół tysiąca metrów nad poziomem morza przełęczy, kiedy to ciężkie lufy armat osadzone na wydrążonych pniach trzeba było ciągnąć częściowo po śniegu i lodzie, częściowo po sterczących gołych skałach.

Do niewielu uczestników legendarnej przeprawy przez Alpy, którzy nie pozostali bezimienni, należał Henri Beyle. Miał wówczas siedemnaście lat, zdawał sobie sprawę, że oto głęboko mu nienawistne



dzieciństwo i młodość

dobiegają końca, i nie bez entuzjazmu szykował się do rozpoczęcia kariery wojskowej, która, jak wiemy, miała go jeszcze zawieść w niejeden kąt Europy. Zapiski, w których Beyle pięćdziesięcioletni – przebywał wtedy w Civitavecchia – usiłuje wydobyć z pamięci udręki tamtych dni, demonstrują dobitnie rozmaite trudności wspomnienia. Niekiedy zachowana wizja przeszłości składa się wyłącznie z szarych pól, potem znów pojawiają się obrazy tak niezwykle wyraziste, że nie ośmiela się im dowierzać, na przykład postać generała Marmonta, którego widział, jak mu się wydaje, w Martigny po lewej stronie sunącego taboru, w błękitno-szafirowym stroju radcy stanu, i którego, jak nas zapewnia, nadal tak właśnie widzi, gdy zamykając oczy, wywołuje tę scenę w pamięci, jakkolwiek Marmont, o czym Beyle doskonale wie, musiał nosić podówczas mundur generalski, a nie modry strój radcy.

Beyle, który twierdzi, że na skutek całkiem opacz-
nego, nastawionego wyłącznie na wykształcenie

mieszkańskich przymiotów wychowania miał w tym czasie konstytucję czternastoletniej dziewczynki, pisze też, że tak był poruszony widokiem mnóstwa końskich trupów na poboczu drogi i wszelkich rupieci militarnych, znaczących ślad posuwającej się naprzód armii, iż to, co wtedy napełniało go zgrozą, zaledwie utrzymało mu się w pamięci. Wydaje mu się, że siła wrażenia zniszczyła samo wrażenie. Poniższy rysunek należy zatem traktować tylko jako środek, za którego pomocą Beyle próbuje uprzytomnić sobie, jak to było, gdy część oddziału, z którą się poruszał, dostała się niedaleko wsi i twierdzy Bard w ogień.



B to wioska Bard. Trzy C na wzniesieniu po prawej oznaczają działa twierdzy, ostrzeliwujące punkty L L L na drodze ciągnącej się stromym zboczem P. Tam, gdzie umieszczono X, leżą konie, które w panicznym strachu runęły z drogi w przepaść, a H oznacza Henri, własną pozycję narratora. Oczywiście Beyle, znajdując się w tym punkcie, nie widział rzeczy w ten sposób, bo w rzeczywistości, jak wiemy, wszystko jest zawsze zupełnie inaczej.

Poza tym Beyle pisze, że nawet gdy człowiek rozporządza bardziej wiernymi wspomnieniami, nie

można im zaufać. Podobnie jak wspaniała postać generała Marmonta w Martigny, przed rozpoczęciem wspinaczki, niezatarte wrażenie piękna wywarło na nim, zaraz po przebyciu najtrudniejszego odcinka drogi, zejście z przełęczy i otwierająca się ku wschodowi słońca Dolina Świętego Bernarda. Nie mógł się napatrzyć do syta i wciąż przelatywały mu przez głowę pierwsze włoskie zwroty – *quanti sono miglia di qua a Ivrea* oraz *donna cattiva* – jakich poprzedniego dnia nauczył się od proboszcza, u którego stał na kwaterze. Beyle pisze, że przez długi czas żył w przekonaniu, iż zapamięta tę jazdę ze wszystkimi szczegółami, zwłaszcza moment, gdy przy mierzchnącym już dniu po raz pierwszy ujrzał z odległości trzech czwartych mili miasto Ivrea. Leżało tam, gdzie dolina rozszerza się i z wolna przechodzi w równinę, nieco na prawo, na lewo zaś, w głębi perspektywy, wznosiły się góry – Resegone di Lecco, która później tyle jeszcze miała dla niego znaczyć, a całkiem z tyłu zapewne Monte Rosa.

Beyle doznał, jak pisze, wielkiego rozczarowania, gdy przed kilku laty, przeglądając stare papiery, natknął się na rycinę przedstawiającą *prospetto d'Ivrea*, i musiał przyznać w duchu, że jego wspomnienie zasnutego zmiernem miasta jest jedynie kopią tej ryciny. Toteż, zaleca, nie należy kupować rycin pięknych widoków oglądanych w podróżach. Albowiem rycina niebawem zajmuje całe miejsce wspomnienia, jakie w sobie nosiliśmy, ba, można wręcz powiedzieć, że je niszczy. Na przykład cudownej Madonny Sykstyńskiej, którą oglądał w Dreźnie, mimo wszelkich

wysiłeków nie może już sobie przypomnieć, ponieważ przesłoniła ją rycina wykonana przez Müllera, natomiast liche pastele Mengsa z tejże samej galerii, na których imitacje nigdy nie natrafił, nadal ma wyraźnie przed oczyma.

W Ivrei, gdzie wszystkie domy i miejsca publiczne zajęte były przez biwakującą armię, Beyle zdołał dla siebie i dla kapitana Burelvillera, w którego towarzystwie wjechał do miasta, znaleźć kwatery w magazynie jakiejś farbiarni, pośród beczek i miedzianych kotłów, gdzie powietrze przesiąknięte było dziwnie kwaśną wonią, i ledwie tam stanąwszy, musiał bronić się przed gromadą maruderów, którzy chcieli wyrwać z zawiasów okiennice i drzwi, aby wrzucić je w ognisko rozniecone na dziedzińcu. Nie tylko z racji tego wyczynu, ale w ogóle po przeżyciach ostatnich dni Beyle miał poczucie, że osiągnął pełnoletność, i w przypiływie ochoty udał się, nie bacząc na głód, wyczerpanie ani protesty kapitana, do Emporium, gdzie, jak obwieszczały liczne afisze, dawano tego dnia *Il matrimonio segreto* Cimarosy.

Fantazję Beyle'a, już silnie poruszoną na skutek powszechnie panującego zamętu, muzyka Cimarosy podnieciła jeszcze bardziej. Gdy w pierwszym akcie potajemnie zaślubieni Paolino i Carolina łączą głosy w pełnym łuku duecie *Cara, non dubitar: pietade troveremo, se il ciel barbaro non è*, wierzył, że sam się znajduje nie tylko na deskach prymitywnej sceny, ale faktycznie w domu przygłuchego kupca bolońskiego i trzyma w ramionach jego najmłodszą córkę. Serce zadrgało mu tak gwałtownie, że

do końca przedstawienia do oczu wciąż napływały mu łzy, a opuszczając Emporium, był przekonany, że aktorka, która grała Caroline i która, co dostrzegł był, jak mu się zdawało, ponad wszelką wątpliwość, kilkakrotnie spojrzała specjalnie na niego, mogłaby obdarzyć go szczęśliwością, jaką przyobiecowała muzyka. Nie przeszkadzało mu wcale, że lewe oko sopranistki przy pokonywaniu trudniejszych koloratur uciekało trochę ku skroni ani że brakowało jej prawej górnej trójki; przeciwnie, jego egzaltowane uczucia lgnęły właśnie do tych defektów. Wiedział teraz, gdzie szukać szczęścia; nie w Paryżu, gdzie się go spodziewał, będąc jeszcze w Grenoble, i nie w górach Delfinatu, do których nieraz tęsknił z Paryża, ale tu, we Włoszech, w muzyce, w obecności takiej aktorki. Przekonania tego nie zdołały zmienić nawet wulgarne żarty na temat wątpliwych obyczajów dam z teatru, czym drażnił go następnego ranka kapitan, gdy pozostawiając za sobą Ivreę, jechali w kierunku Mediolanu, a Beyle czuł, jak serce w nim wzbiera i ogarnia cały rozległy krajobraz wczesnego lata, witający go zewsząd nieprzebraną obfitością drzew w świeżej zieleni.

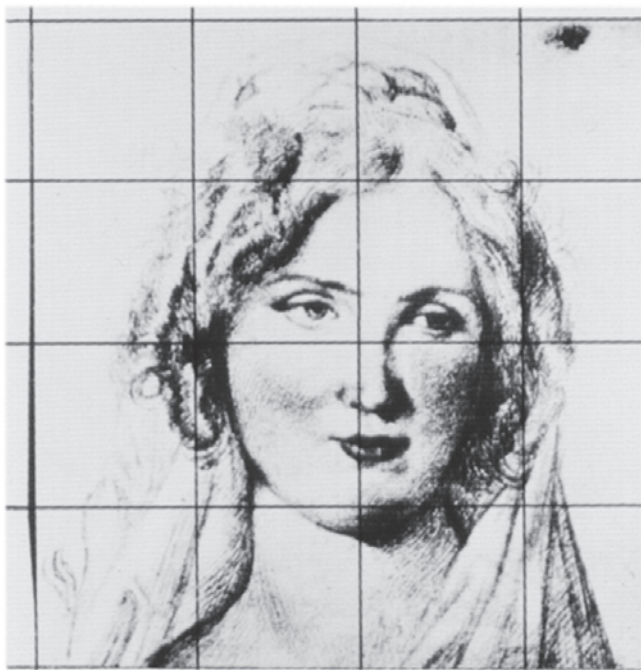
23 września 1800 roku, mniej więcej trzy miesiące po przybyciu do Mediolanu, Henri Beyle, który do-tychczas wykonywał prace kancelaryjne w biurach poselstwa Republiki w Casa Bovara, zostaje przydzielony jako podporucznik do 6. Pułku Dragonów. Niezbędne dla skompletowania munduru sprawunki szybko pochłaniają pieniądze, wydatki na spodnie z łosiowej skóry, hełm ozdobiony biegnącą od karku

po czubek głowy kitą z końskiego ogona, buty, ostrogi, klamry, pas z koalicyjką, epolety, guziki i dystynkcje daleko przewyższają pozostałe koszty utrzymania. Ale Beyle, kiedy teraz ogląda się w lustrze albo zgoła mniema dostrzegać w oczach mediolanek odblask wrażenia, jakie sprawia, czuje się jak odmieniony. Jakby nareszcie udało mu się wyskoczyć z przysadzistego ciała, jakby wysoki haftowany kołnierz wydłużył zbyt krótką szyję. Nawet uciekające na bok



z których powodu na jego nieszczęście często nazywają go *le Chinois*, wydają się nagle śmielsze, wyraźniej skierowane ku fikcyjnemu środkowi. Siedemnastoipółletni dragon, przywdziawszy nowy strój, całymi dniami chodzi w stanie erekcji, nim się odważy pozbyć przywiezionej z Paryża niewinności. Imienia czy twarzy owej *donna cattiva*, która mu w tej sprawie asystowała, nie może sobie potem przypomnieć. Potężne doznanie, pisze, wygasiło w nim wszelkie wspomnienia. W następnych tygodniach Beyle tak gruntownie oddaje się nauce, że z późniejszej perspektywy wejście w świat zlewa mu się z wizytami w burdelach, i nim rok dobiegnie końca, doświadczyć musi dolegliwości infekcji oraz kuracji rtęcią i jodkiem potasu. Nie przeszkadza mu to jednocześnie pracować nad wykształceniem dużo bardziej abstrakcyjnej namiętności. Obiektem jego potrzeby

uwielbienia jest Angela Pietragrua, kochanka jego kolegi Louisa Joinville'a, która jednak brzydkiego młodego dragona zaledwie czasem muśnie ironiczno-litościwym spojrzeniem.



Dopiero w jedenaście lat później, po długiej nieobecności ponownie odwiedzając Mediolan i niezapomnianą Angełę, Beyle zdobywa się na odwagę, by Angeli, która ledwo go pamięta, wyznać wzniosłe uczucia. Angeli namiętność tego osobliwego kochanka niezbyt jest na rękę, próbuje rozładować napiętą sytuację, proponując wycieczkę do Villa Simonetta, gdzie sławne echo powtarza strzał z pistoletu do pięćdziesięciu razy. Ale gra na zwłokę niczego nie

załatwia. Lady Simonetta, jak Beyle odtąd nazywa Angelę Pietragrua, zmuszona jest w końcu skapitulować wobec obłąkanej, w jej opinii, wymowności, jaką osacza ją Beyle. Udaje jej się tylko wymóc na nim obietnicę, że dostąpiwszy jej względów, bezzwłocznie opuści Mediolan. Beyle akceptuje ten warunek bez sprzeciwu i jeszcze tego samego dnia wyjeżdża z miasta, z którym tak długo wiązała go tęsknota, nie omieszkawszy zaznaczyć na szelkach daty i godziny podboju: 21 września, wpół do dwunastej. Gdy siedzi znów w dylizansie, a przed jego oczyma przesuwa się piękna okolica, Beyle, wieczny podróżnik, zawsze w drodze dokądś, zastanawia się, czy będą mu kiedykolwiek dane inne jeszcze zwycięstwa prócz tego, które właśnie odniósł. O zmierzchu nachodzi go dobrze znana melancholia, poczucie winy i niższości podobne do tego, które po raz pierwszy dręczyło go nieustępliwie pod koniec 1800 roku. Przez całe lato owego roku powszechna euforia po bitwie pod Marengo niosła go jak na skrzydłach; z największym przejęciem czytywał w biuletynach napływające relacje z kampanii północnowłoskiej: urządzano fajerwerki, bale i iluminacje, a kiedy nadszedł dzień, gdy po raz pierwszy wolno mu było wdziać mundur, czuł, że jego życie nareszcie ujęte zostało w doskonały albo przynajmniej dążący do doskonałości system, gdzie piękno i groza pozostają względem siebie w ścisłym stosunku. Ale późna jesień przyniosła melancholię. Służba garnizonowa coraz bardziej go przygnębiała, Angela zdawała się faktycznie nie zwracać na niego uwagi, wybuchła choroba, raz po raz przy pomocy



lusterka badał zainfekowane miejsca i wrzody w jamie ustnej i gardle oraz plamy na wewnętrznej stronie ud.

U początku nowego stulecia Beyle raz jeszcze w La Scali obejrzał *Il matrimonio segreto*, ale chociaż teatralna oprawa była świetna, a aktorka grająca Carolinę bardzo urodziwa, nie udało mu się, jak wówczas w Ivrei, wyobrazić sobie, że należy do czynnych uczestników. Był teraz raczej tak bardzo oddalony od wszystkiego, że muzyka, jak w swoim mniemaniu ponad wszelką wątpliwość odczuwał, złamałaby mu serce. Oklaski, które zatrzęsły gmachem opery po spektaklu, wydały mu się końcowym aktem zniszczenia, niczym huk i trzask kolosalnego pożaru, i przez dłuższy czas nie ruszał się z miejsca, jakby ogłuszony nadzieją, że mógłby go strawić ogień. Jako jeden z ostatnich gości opuścił potem garderobę, wychodząc raz jeszcze spojrzął z ukosa na swe odbicie w lustrze i w obliczu samego siebie zadał po raz pierwszy owo pytanie, z którym miał się borykać przez następne dziesięciolecia – od czego ginie pisarz? Ze względu na te okoliczności wydało mu się faktem pełnym znaczenia, gdy w kilka dni po owym pamiętnym wieczorze przeczytał w gazecie, że 11 bm. w Wenecji, przy pracy nad nową operą *Artemisia*, Cimarosę zaskoczyła śmierć. 17 stycznia w Teatro La Fenice odbyła się

prapremiera *Artemisii*. Sukces był ogromny. Potem jeły kursować dziwne pogłoski, że Cimarosa, swego czasu w Neapolu uwikłany w ruch rewolucyjny, został na zlecenie królowej Karoliny otruty. Wedle innych domysłów Cimarosa umarł jakoby w następstwie ciężkich przejść w neapolitańskich więzieniach. Pogłoski te, przyprowadzające Beyle'a o koszmary, w których wszystko, co przeżył w ciągu minionych miesięcy, mieszało się ze sobą w przerażający sposób, utrzymywały się uporczywie i nie ucichły nawet wtedy, gdy papieski lekarz przyboczny, zarządziwszy specjalnie obdukcję zwłok Cimarosy, oświadczył, że przyczyną śmierci była zgorzel.

Musiało upłynąć sporo czasu, nim Beyle po tych wydarzeniach odzyskał jaki taki spokój. Przez całą wiosnę cierpiał na ataki gorączki i skurcze gastryczne, leczone już to chininą, już to ipekakuaną i winnikiem wymiotnym, co pogorszyło jego stan do tego stopnia, że nieraz zdawało mu się, iż koniec jest bliski. Dopiero z nadejściem lata obawy stopniowo ustąpiły, a wraz z nimi gorączka i okropne bóle żołądka. Doszedłszy po trosze do siebie, Beyle, który jeśli pominąć chrzest bojowy w Bard, nie brał jeszcze udziału w żadnej potyczce, zaczął interesować się miejscami, gdzie rozegrały się wielkie bitwy ostatniego roku. W związku z tym wciąż na nowo przemierzał krajobraz lombardzki, do którego, jak stwierdza, przylgnął już całym sercem, osnuty smugami szarości i błękitu, rozdzielającymi się na coraz to delikatniejsze pasemka, by wreszcie na horyzoncie rozpląnąć się we mgle.

SERIA Sebald

REDAKTOR PROWADZĄCY

Karol Poręba

KOREKTA

Izabela Poręba, Piotr Królak

REDAKCJA TECHNICZNA

Renata Łukaszewska

PROJEKT OKŁADKI I STRON TYTUŁOWYCH

Agnieszka Pasierska | Pracownia Papierówka

OPRACOWANIE TYPOGRAFICZNE, ŁAMANIE

manufaktura | manufaktu-ar.com

DRUK I OPRAWA

Zakład Poligraficzny SINDRUK, Opole

WYDAWNICTWO OSSOLINEUM

UL. SZEWSKA 37

50-139 WROCŁAW

wydawnictwo@ossolineum.pl

www.wydawnictwo.ossolineum.pl

ISBN 978-83-66267-58-9

WKRÓTCE W SERII

W.G. Sebald, *Wojna powietrzna i literatura*
przeł. Małgorzata Łukasiewicz (2022)

SERIA Sebald

Filozoficzna głębia, erudycja, silne osadzenie w tradycji literackiej i zniuansowana, mistrzowska fraza – to z jednej strony; z drugiej – formalna i intelektualna wywrotowość. Pisarstwo W.G. Sebald to bodaj najbardziej niezwykła rzecz, jaka przytrafiła się literaturze europejskiej drugiej połowy XX wieku. Skromny rozmiar tego dzieła, przerwane na skutek tragicznej śmierci pisarza w 2001 roku, pozostaje w zaskakującej sprzeczności z bogactwem i żywotnością twórczości autora. Sebald nieustannie intryguje czytelników, inspiruje artystów, a literaturoznawców zmusza do wysiłku.

W serii przypominamy wszystkie najważniejsze utwory pisarza w tłumaczeniu mistrzyni literackiego przekładu Małgorzaty Łukasiewicz. Korzystamy także z okazji do tego, by przybliżyć Czytelnikom postać autora i najważniejsze odczytania jego dzieła.

Spis rzeczy

Beyle albo osobliwy fakt miłości	5
<i>All'estero</i>	31
Dr K. na kąpielach w Rivie	125
<i>Il ritorno in patria</i>	151
POSŁOWIE	
Istnienie, które w kwiecie dostaje deszczu	231